w młodych oczach

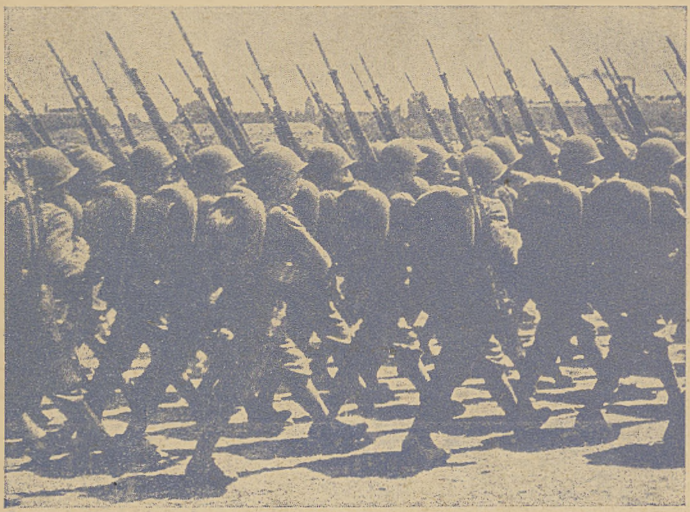
CZASOPISMO
MŁODZIEŻY
SZKOLNEJ



Nr 1 (5) WARSZAWA Rok 2

WYD. ORGANIZACJA PRACY OBYWATELSKIEJ MŁODZIEŻY STRAŻ PRZEDNIA





Ag. Photo-Plat



Ag Photo-Plat

ZIEMIA I WOJNA

Ukazała się niezbyt dawno na rynku księgarskim praca ppłk. Rostworowskiego i rtm. Stabelskiego p. t.: „Rolnictwo i wojna". Zarówno tytuł, jak i zewnętrzna szata tej książki nie zdają się zapowiadać żadnej rewelacji — inaczej jednak kształtuje się nasz sąd po przeczytaniu już pierwszych jej kartek.

Przecież my o tym prawie nic nie wiemy — przecież to są sprawy arcyważne i to nie w czasie wojny, ale właśnie pokoju, gdyż wszelka właściwie zrozumiana praca pokojowa jest niczym innym jak pewną „odskocznią do ewentualnej wojny". Książka ta winna stać się lekturą obowiązującą w szkołach, powinien ją poznać i przemyśleć każdy inteligentny obywatel.

Oto myśli budzące się w nas w czasie lektury:

Autorzy w najzupełniej obiektywny sposób, zastrzegając się stale przeciw jednostronności ujęcia problemu, burzą tylekroć głoszone przez „wielkie firmy" poglądy, dotyczące wydajności gospodarstw rolnych. Opierając się na danych liczbowych, uwzględniając wpływ lokalnych warunków, podkreślają znaczenie różnych warsztatów rolnych, wykazują cyframi, jak fatalne skutki musi przynieść nieracjonalna, bo pod pewnym tylko kątem widzenia, przeprowadzana parcelacja. Poglądy ich są tak odmienne od utartych dróg myślenia, tak nieoczekiwane w swoim przebiegu i przekonywujące obiektywizmem dowodzeń, że stajemy przed nimi bezradni, nie wiemy, czy przyklasnąć im i zaciągnąć się pod ich sztandary, czy pozostać wiernie przy tezie: ziemia dla chłopa.

Zdaje się, że wybierzemy drogę pośrednią — rozumiejąc obawy wojska przed stworzeniem całej masy gospodarstw nastawionych nie na produkcję lecz na wyżycie — gospodarstw, które w stanie wojny mogą okazać się zupełnie nie twórczymi w dziedzinie aprowizacji, gdyż same pochłoną 90% swoich wytworów. Rozumiejąc jednak obawy na widok niszczenia narodowych ośrodków hodowlanych, solidaryzując się zupełnie z podkreśleniem niebezpieczeństwa przechodzenia polskiej ziemi w ręce obce — odczuwamy i drugą stronę zagadnienia: głód ziemi i ścisk na wsi. Czy jednak parcelacja jest jedyną drogą, mającą tym fatalnym zjawiskom zaradzić? I czy wogóle jest to droga? Oto pytania, którym autorzy wiele miejsca poświęcają.

Na południu Rzplitej, gdzie ścisk jest największy, okazało się, że jedynie zmiana struktury socjalnej ludności może dać pewne efekty. Pozostaje Centralny Okręg Przemysłowy. Po uruchomieniu zatrudni on wiele robotników — byłych chłopów — tysiącom rodzin da utrzymanie. Dla obsługi ich potrzeba będzie nowych tysięcy szewców, krawców, piekarzy itp. Ta ogromna masa ludzka przyciągnie do siebie młodych lekarzy, dentystów, adwokatów, nauczycieli — oto jest właściwa zdaniem autorów droga. W ten sposób nie marnując sił, nie przyduszając zdrowej prężności ludzkości, która za wszelką cenę chce żyć, tworzymy wielkie dzieło, które większy przyniesie pożytek i piękniej przed przyszłością będzie o nas świadczyło, niż nowe tysiące biedoty wiejskiej, rozdrabniające dalej otrzymane w parcelacji zagony.

Książka niecodziennie ciekawa a zarazem jakże pełna bogatego materiału myślowego, którym wszyscy zainteresować się powinni. Dziś bowiem nie da się wyodrębnić jakichś specjalnych czy też zasadniczych składników bądź zagadnień z naszego życia, lecz „należy je wszystkie rozpatrywać w takiej organicznej całości, w jakiej istnieją w życiu codziennym".

(c. d. na 3-ej str. okładki)

w młodych oczach

czasopismo młodzieży szkolnej

Wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży
S T R A Ż P R Z E D N I A

Nr. 1 (5) Warszawa, 10 lutego 1938 r. Rok II.

Wyjaśniamy Szanownym Czytelnikom, że numer styczniowy w „Młodych Oczach" nie ukazał się ze względu na ferie szkolne oraz związane z tym trudności redakcyjne i techniczne. Przygotowana część materiału poświęcona **rozważaniom idei i upamiętnieniu ofiary roku 63-iego** wejdzie do numeru na dzień 19-go marca.

„KOMPLEKS UBÓSTWA"

Kraj, który stosunkowo niedawno zabrał się sam do regulowania swych własnych spraw, kraj — jak Polska — musi stać przed gordyjskim węzłem zagadnień nagromadzonych i powikłanych za wszystkie czasy, często naplątanych umyślnie przez zaborców. W wielu dziedzinach naszego życia pokutuje moc błędnych kierunków i pojęć, moc fałszywych norm i nadaremnych wysiłków. W każdej z dziedzin rodzą się też z czasem myśli zdrowe, które samodzielnie muszą sobie torować drogę pośród przeszkód i urojeń, by przeobrazić całą rzeczywistość. Ogromna większość zagadnień życia polskiego musi być wciąż jeszcze rozstrzygana od nowa po pioniersku — myślą i pracą zarazem. Polska będzie jeszcze długo t r u d n y m orzechem do zgryzienia dla swoich budowniczych, nim nie stanie się należycie t w a r d y m orzechem dla swych sąsiadów.

Do trudnych problemów należą między innymi sprawy wychowania masy obywatelskiej i sprawy gospodarcze. Wychowanie mas obywatelskich ma już swą ideologię zawartą w Dekalogu konstytucyjnym. Pojęcie obywatela opiera się na jak najdalej posuniętej ofiarności i bezinteresowności w służbie państwu.

Cechą stosunku obywatela do państwa, narodu, ojczyzny musi być najwyższej miary — i d e a l i z m. To między innymi różni naszą bezimienną epokę od epoki liberalizmu, że nikt nie waży się już dziś traktować państwa jak „stróża nocnego" swych własnych interesów. Na świecie zdaje się zwyciężać inna, wręcz przeciwległa zasada: „Ty jesteś niczym, twój naród, twoje państwo — jest wszystkim".

Ten ideowy stosunek do „dobra najwyższego" rozciągać się musi na wszystkie sprawy zbiorowe, jako pośrednio czy bezpośrednio podległe państwu. Na sprawy kultury, polityki, na sprawy społeczne, zawodowe, gospodarcze itp. Każda z tych dziedzin wymaga pracy obywatelskiej, realnej a bezinteresownej pracy społecznej. Dziedziny te jednak różnią się między sobą. Dotyczą bowiem tak spraw duchowych jak i materialnych, gospodarczych. I dlatego wytyczne postępowania obywatelskiego często muszą być różne. Mówiąc sprosta, doraźny interes jednostek w wielu sprawach bywa często sprzeczny z interesem państwa. I wtedy jednostka zdobyć się musi na bezinteresowność, a nawet na ofiarne poświęcenie. W innych dziedzinach życia zbiorowego bywa jednak i tak, że in-

teres państwa leży wyłącznie w bezpośredniej korzyści jego poszczególnych obywateli. Tak bywa naogół w dziedzinie gospodarki narodowej. Tym właśnie zagadnieniem chcemy się dziś zająć, ponieważ wiele wskazuje na to, że w społeczeństwie panują tu duże nieporozumienia, że w psychice polskiej tkwi nawet pewien w tych rzeczach k o m p l e k s. Nazwano go ostatnio „kompleksem ubóstwa"*).

Nazwa ta w skrócie oznaczać ma naszą główną wadę psychiczno-gospodarczą. Jest to głęboko zakorzeniona w społeczeństwie niechęć do pieniądza. Rzecz wygląda na pozór nieprawdopodobnie. Jest przecież smutną prawdą, że dochód społeczny, czyli suma zarobków przypadająca na głowę mieszkańca jest u nas bodaj najniższa w Europie. Że stopa życiowa większości mieszkańców jest wciąż jeszcze na poziomie biedowania. Wynikałoby z tego, że pieniądz powinien być w Polsce otoczony szczególnym poważaniem, zaś dźwiganie się wzwyż, dorabianie się powinno być powszechnym dążeniem społeczeństwa.

A tymczasem wydaje się, że — jest właśnie przeciwnie. Wydaje się, że większość społeczeństwa tak przywykła do życia w ubóstwie, że nie ma ani chęci ani woli myśleć o jakiejś odmianie na lepsze. Przejawy tego można znaleźć na każdym kroku. Świadczy o tym chociażby „posadomania" wśród młodzieży opuszczającej szkoły. Dla sporej większości tej młodzieży marzeniem jest jakaś licho płatna posadka, skromne zajęcie, które pozwoli jako tako przetrwać życie i uniknąć trosk i wysiłku prawdziwej walki o lepszy byt. Ta niezaradność materialna cechuje zresztą nie tylko młodzież. Przykład idzie z góry, często z domu rodzicielskiego. Utrwaliło się jakże szkodliwe przekonanie, że sprawa powodzenia życiowego, to jest—los na loterii. Że o własnych siłach nie można piąć się w górę. Powodzi się temu, kto ma szczęście lub protekcję. To fałszywe przekonanie odbiera siły do walki i wiarę w siebie. Wychodzi w życie armia „skromnych" młodzieńców „bez protekcji", z góry przygotowanych na wegetację, z góry rezygnujących z osobistej kariery życiowej i wysokiej „lokaty" w społeczeństwie.

Ta bezsilność życiowa szuka sobie często osłody w t. zw. „ideologii szarego człowieka". Że niby nie dla wszystkich jest miejsce w słońcu, że muszą też być szare pionki, wykonujące pracę na „małym odcinku", zadawalające się w życiu resztkami. A tymczasem Polsce potrzeba dziś nie pionków lecz pionierów. I nie „szarych" pionierów, ale wielkich, którzy zrewolucjonizują życie polskie pod każdym względem, pchną je na przód i wzwyż za wszystkie lata zastoju, pociągną za sobą innych, dadzą im pracę, nauczą jej, zmuszą do niej. Tych wielkich pionierów potrzebuje przede wszystkim życie gospodarcze. Ulubione słowo młodzieży — „przebojem" — tu właśnie musi znaleźć pełne zastosowanie. Bo tu w psychice polskiej działają właśnie główne hamulce. Jednym z nich jest ów „kompleks ubóstwa", który pozwala cierpliwie znosić nędzę, ba — idealizuje ją nawet, podnosi do wyżyn światopoglądu zgoła franciszkańskiego. Kompleks ten każe pieniądz traktować wstydliwie i nieszczerze, jak coś, odejmującego wartość pracy, coś poniżającego. A tymczasem gospodarce narodowej potrzeba ludzi, którzy potrafią siebie i ją zbogacać na gwałt, ciągnąć wzwyż siebie i innych do dobrobytu, skończyć z absurdem, że w kraju, przed którym wszystkie możliwości stoją otworem, ludzie spokojnie, cierpliwie i „ideowo" klepią sobie biedę.

Nie wahajmy się stwierdzić, że wzorem Polaka jest dziś ten, kto własnym sumptem i wysiłkiem postawi w C.O.P.-ie fabrykę narzędzi rolniczych lub polską bekoniarnię na Pomorzu. Czas odwrócić uświęcone wartości: nie bogactwa lecz biedy trzeba się w Polsce wstydzić i do niej wziąć się bezlitośnie, młodzieńczo, „przebojem". Jedno przy tym zastrzeżenie: mówiąc o potrzebie bogacenia się, można mieć na myśli tylko uczciwy zysk płynący z uczciwej pracy. Dla innych źródeł zysku, dla przywileju i bezprawia nie ma już dziś w Polsce pardonu.

*) Pisały o tym: Gazeta Polska, Expres Poranny, Kurier Polski.

Wiemy doskonale, że nie tylko chlebem powszednim człowiek żyje. Nie chcemy ograniczać aspiracji człowieka i narodu do zagadnienia chleba powszedniego, lecz wzgląd praktyczny, wzgląd na metodę skutecznego działania, wymaga wskazania polityce najgłówniejszego celu, jakim jest rozwiązanie zagadnienia chleba dla wszystkich. Głębokie zaburzenia życia gospodarczego przez wojny i rewolucje uczyniły to zagadnienie wyjątkowo trudnym do rozwiązania. Najtrudniejsze zagadnienia jednak dają się rozwiązywać, wymagają tylko rzetelnego ustosunkowania się do siebie, wymagają skoncentrowania na sobie myśli i woli ze strony tych, którzy do ich rozwiązania przystępują.

Antoni Anusz. „Praca u podstaw".

polityka w młodych oczach

Władysław Bogdalski (Lwów)

O polskość ziem południowo-wschodnich

Dyskutujemy oczywiście o wszystkim; nie tylko o pogodzie, o sporcie, o „dwójach" i innych przypadłościach studenckiego życia. Także o tak zwanej polityce, więc o wiejskiej ciemnocie i biedzie, o niebezpiecznym sąsiedztwie Niemiec i Rosji, o Żydach, o Ukraińcach. A jednak wyznam, że za mało mi się widzi tych „politycznych" tematów i rozpraw. A jeszcze mniej widać choćby jakiej takiej orientacji w tym wszystkim, stąd zwykle kończą się owe pogwarki albo taniutkim a bezmyślnym optymizmem („jakoś to będzie") i buńczucznym potrząsaniem pięścią albo szkodliwszym jeszcze, pesymistycznym „nie da rady" — jednym słowem najczęściej a po prostu — bezradnością. A przecież tak nie wolno. Czas szybko pędzi; już jutro młode pokolenie stanie się dojrzałe, a sprawy dziś mgliste i dalekie jutro zażądają od nas ostro i bezwzględnie męskiej decyzji. Na pewno nie wymigamy się od zmierzenia sił naszych z nimi i dlatego teraz już trzeba próbować je „rozgryźć", choćby najtwardsze były i najtrudniejsze. A taką właśnie jest sprawa naszych ziem południowo-wschodnich.

Głośno dziś o tym w całym kraju, a zwłaszcza na tym terenie: we Lwowie, Tarnopolu i Stanisławowie. Jeszcze się toczy dyskusja o „normalizacji" z 1935 r., mnożą się uchwały i rezolucje, rozlegają alarmy o ukraińskiej ofensywie i naszym odwrocie. W akcji tej chciałoby się widzieć zapowiedź renesansu polskości na południowym wschodzie, niestety nadzieje te osłabia bardzo jeszcze powszechna, a w całej tej dyskusji całkiem wyraźna, zadawniona „ignorantia Polonorum in rebus ucrainicis". Za wiele w tym ruchu uogólnień i haseł, a za mało szczegółowej analizy faktycznego stanu rzeczy i przemyślenia programu działania. Jesteśmy strasznie niecierpliwi i gorączkowi; na nic nie umiemy czekać, nie stać nas na cierpliwość, kierujemy się porywami i odruchami tam, gdzie trzeba kupieckiej rachuby i konkretnego planu. A to właśnie zagadnienie, tak zawiłe i trudne, wymaga jak największego wysiłku myśli i woli, opanowania nerwów, zimnego realizmu politycznego. Tymczasem kierujemy się w tych sprawach niemal wyłącznie sentymentem, znajomość zaś problemów ziem południowo-wschodnich u przeciętnego inteligenta polskiego nie wykracza poza... „Ogniem i mieczem". W sprawie tak fundamentalnej dla przyszłości naszego państwa lekkomyślność i bezmyślność wciąż walczą o lepsze. Najchętniej radzi byśmy w stosunkach kresowych jakiejś sielance bratersko-słowiańskiej — a mamy sabotaże i pacyfikacje, zamiast zaś czynu polskiego mamy cofanie się polskości i... rezolucje wiecowe.

Samo zaś zagadnienie południowo-wschodnie zazębia się ze wszystkimi bodaj najbardziej żywotnymi problemami tak wewnętrznymi, jak międzynarodowymi Rzeczypospolitej. Na stosunki polsko-ukraińskie rzuca olbrzymi cień Rosja z jej czerwonym imperializmem, działają wśród Ukraińców agentury niemieckie i czeskie, działa tradycja historyczna, organicznie wiążą się z tą sprawą gospodarcze i społeczne potrzeby wsi itd. I dlatego właśnie musi się w oparciu o rzeczywistość spośród tych mnogich problemów wybrać najważniejsze i najpilniejsze, ustalić ich kolejność i hierarchię, jeśli się chce na serio w myśl polskiej racji stanu tę trudną, ciężką sprawę załatwić.

Niewątpliwie ambicją każdego Polaka musi się stać wielka rola Polski na Wschodzie Europy, do czego zmusza nas cała nasza tradycja historyczna i samo położenie geopolityczne na pograniczu Wschodu i Zachodu. To też koniecznością dziejową okazuje się dla Polski ustalenie wyraźnej, zdecydowanej polskiej polityki wschodniej. Ale też właśnie na tych wielkich dziejowych szlakach polskiej myśli politycznej leży w poprzek sprawa mniejszości ukraińskiej w Polsce. Każda, choćby najsłuszniejsza, koncepcja wschodnia stanąć musi już w pierwszym rzucie oko w oko z zagadnieniem istniejących dziś w ramach Państwa Polskiego — stosunków polsko-ukraińskich. Zanim się wyjdzie poza opłotki swojej zagrody, trzeba zrobić porządek we własnym domu. To dopiero może być podstawą konstruowania szerszych idei politycznych, bez rozwiązania tych trudności wewnętrznych mowy być nie może o jakiejś wielkiej misji dziejowej Polski na Wschodzie.

Sprawy te zaś pod każdym względem są dziś jak najdalsze od „bratersko-słowiańskiej“ idylli. Cmentarz Orląt we Lwowie nie stał się jeszcze zabytkiem historycznym, sabotaże, pacyfikacje i O.U.N., to dziś nietylko przykre wspomnienia... I te tylko czynniki — stwierdzić należy — były przez cały szereg lat jedynymi wyznacznikami dla sprawy polsko-ukraińskiej. Rok 1935 — podjęcie t.zw. normalizacji stosunków polsko-ukraińskich przez rząd premiera Kościałkowskiego i UNDO (Ukraińskie Narodowo-Demokratyczne Objednanje) jako kierownictwo polityczne społeczeństwa ukraińskiego w Małopolsce Wschodniej — miał się stać przełomem dla dalszego rozwoju tej sprawy.

Pierwsze dwa lata „normalizacyjne“ — mimo pewnych osiągnięć — nie pozwoliły jednak nie tylko na optymistyczne nadzieje dla polityki normalizacyjnej na przyszłość, ale nawet zdawały się przekreślać samą ideę porozumienia polsko-ukraińskiego. Przez cały ten czas po obu stronach: polskiej i ukraińskiej toczyła się ożywiona dyskusja, w której wzajemnie obwiniano się o niedotrzymanie zobowiązań „normalizacji“.

Społeczeństwo polskie w Małopolsce Wschodniej zgodnie uznało potrzebę normalizacji, uważając jednak słusznie, że nie może ona odbywać się ponad głowami Polaków kresowych i bez ich współudziału oraz wysuwając konieczność wzmocnienia żywiołu polskiego na tej ziemi. Stanowisko to i organizowanie twórczej pracy społeczeństwa polskiego na tym terenie stały się podstawą utworzenia i działalności Sekretariatu Porozumiewawczego Polskich Organizacyj Społecznych w Małopolsce Wschodniej (SPPOS), skupiającego Polaków tych ziem.

Po stronie ukraińskiej polityka normalizacyjna doprowadziła do wytworzenia w łonie samego „Unda“ silnej opozycji przeciw politycznemu kierownictwu partii, przy czym przewodził tej opozycji czołowy organ ukraiński we Lwowie „Diło“, które zorganizowało nawet ankietę wśród najwybitniejszych polityków ukraińskich, mającą zdykwalifikować „normalizację“. Tymczasem zjazd „Unda“, odbyty 4 stycznia b. r., dość nieoczekiwanie zatwierdził taktykę normalizacyjną, wybierając ponownie prezesem „Unda“ wicemarszałka Sejmu posła Wasyla Mudrego, reprezentanta idei normalizacyjnej, pominąwszy zaś w wyborach najzaciętszego wroga normalizacji, Iwana Kodryn-Rudnickiego, redaktora politycznego „Diła“ i jego przyjaciół, jak dra. Kościa Lewickiego.

W ten sposób idea normalizacji stosunków polsko-ukraińskich, przy wszystkich trudnościach jej zrealizowania, w piewszym swoim etapie pogrzebaną nie została, ale zachowała przynajmniej perspektywy rozwoju w przyszłości.

Już owa dyskusja, sam fakt rozmowy między oboma powaśnionymi społeczeństwami na tej samej żyjącymi ziemi, a nade wszystko owa próba normalizacyjna oznaczają przełom w dotychczasowym rozwoju tych stosunków. Okazało się, że można i warto porozmawiać, że zasadniczo i „normalizacja“ nie jest utopią, chociaż z braku warunków w obecnej sytuacji do skutku nie doszła.

Chodzi właśnie o te warunki i o tę sytuację. Wygląda ona dziś tak, że przy imponującym rozwoju ukraińskiego życia narodowego we wszystkich kierunkach, zwłaszcza kulturalnym i gospodarczym, obserwujemy równoczesny zanik prężności ducha polskiego, bardzo wyraźne i niemal powszechne osłabienie żywiołu polskiego pod każdym względem, powodujące cofanie się polskości na tym terenie. Toteż kardynalnym warunkiem umożliwiającym przystąpienie do rozwiązania całego zagadnienia staje się teraz ustalenie właściwego stosunku do społeczeństwa ukraińskiego oraz przywrócenie owej zachwianej równowagi, odbudowa polskości, zagrożonej przede wszystkim biernością i rezygnacją.

Wydaje się, że w obecnym stanie rzeczy dla określenia stanowiska wobec omawianych zagadnień wystarczyć muszą następujące wytyczne: Musi się wymagać od Ukraińców szczerej i prawdziwie czynnej lojalności wobec państwa i społeczeństwa polskiego bez najmniejszych zastrzeżeń. Od spełnienia tego warunku zależy traktowanie Ukraińców przez państwo i społeczeństwo polskie. Rozumie się, że reakcją na wszelkie próby nielojalności musimy z całym zaufaniem pozostawić państwowym organom sprawiedliwości, oczekując od nich przykładnej surowości. Społeczeństwo polskie oczywiście nie ma zamiaru polonizować Ukraińców, ani też nie chce z nimi walki, pragnąc zachować wszystkie siły do pracy twórczej. Jeśli chodzi o nasze stanowisko wobec rozwoju ukraińskiego życia kulturalnego i gospodarczego, to słuszną wydaje się opinia, że w interesie państwa polskiego nie może leżeć to, by chłop ruski był ciemny, sponiewierany i głodny, dlatego z uznaniem i życzliwością powinniśmy obserwować wszelką ich inicjatywę społeczną w kierunku podniesienia poziomu życia ukraińskiego mas ludowych. Niebezpieczeństwa wyłaniają się wówczas, gdy temu rozwojowi nie towarzyszy równolegle prężność i energia żywiołu polskiego, jak to właśnie dzieje się w Małopolsce Wschodniej. Toteż najbardziej paląca potrzebą chwili stać się musi właśnie zaktywizowanie Polaków.

Na nic sie tu nie zdadzą narodowe zgryzoty i zmartwienia na temat polskiego odwrotu, cofania się polskości, na nic gniewy i dąsy na „Warszawę“ i wołanie pomocy stamtąd, na nic histeryczne lamenty i oburzenie wobec ukraińskich sukcesów. Tu trzeba czynu i pracy. Nie szukajmy winy poza nami,

ale uderzmy się w piersi i powiedzmy sobie, że sami winniśmy opłakanej sytuacji polskości na ziemiach południowo-wschodnich. Nasza to bierność i gnuśność jest źródłem wszelkiego zła. Jakiejże wagi i głębokiego sensu nabiera nasz strażowy program, wskazujący polskiej młodzieży ziemie wschodnie jako kieunek jej ekspansji, kiedy się przyjrzy wytrwałej i ofiarnej pracy całej młodzieży ukraińskiej przy równoczesnej gnuśności i ospałości młodego pokolenia polskiego. Młodzież polska, a zwłaszcza zamieszkała na ziemiach południowo-wschodnich, musi wykrzesać z siebie ducha pionierskiego, zdobywczego i swym przykładem, swym czynem porwać do tej pracy bierne dziś starsze społeczeństwo. Mamy prawo domagać się współdziałania i pomocy w naszych wysiłkach od wszystkich Polaków całej Polski, ale utrwalenie związku tych ziem z Państwem Polskim i budowa potęgi polskiej kultury na kresach jest przede wszystkim obowiązkiem naszym, Polaków kresowych.

Zasada polskiej polityki zagranicznej: nic o nas bez nas — musi się stać również niewzruszoną podstawą działalności polskiego społeczeństwa na południowym wschodzie. Niepowodzenie niedawnych prób normalizacji stosunków polsko-ukraińskich przypisać należy przede wszystkim, a może i wyłącznie pominięciu społeczeństwa polskiego tych ziem przy realizowaniu tej koncepcji. Trzeba to sobie raz na zawsze powiedzieć, że warunki dla rozwiązania wszystkich zagadnień polskiego południowego wschodu mogą i muszą stworzyć Polacy Małopolski Wschodniej przez swą pracę twórczą. Społeczeństwo polskie na tej ziemi swoim wytrwałym trudem i najwyższym wysiłkiem musi stworzyć tu największe wartości polskiej kultury duchowej i materialnej, jeśli ma stać się naprawdę ostoją polskości i źródłem siły państwowej na kresach. Tę najistotniejszą prawdę polskiej rzeczywistości na ziemiach południowo-wschodnich w sposób niezwykle głęboki i słuszny ujęto w artykule „Prawo do ziemi" w czasopiśmie lwowskich legionistów „Wola i Czyn" (nr. 2, z dn. 20 sierpnia ub. r.). Na pytanie: Co daje nam w Małopolsce Wschodniej prawo do tej ziemi? — czytamy taką odpowiedź:

„Małopolskę Wschodnią zdobyliśmy w zwycięskiej wojnie. Podjęta została wojna, ponieważ wśród powszechnej, niemal niemej kapitulacji czynny protest zgłosił Lwów i targnął sumieniem Polski. Ale wygrana wojna jest argumentem tylko do następnej wojny. W okresie przejściowym powstają i narastają nowe czynniki i one przy najbliższej próbie sił decydują o wyniku.

Są to aktualne elementy mocy. Tworzą się one nie w Warszawie, lecz tu, między Sanem i Zbruczem. Tu w codziennych, często nieuchwytnych faktach formuje się historia dnia jutrzejszego. Tu w postaci zupełnie pokojowej rozstrzyga się rezultat przyszłych wydarzeń, burzliwych i gwałtownych. Tu rok temu, dziś i w latach najbliższych, w każdej upływającej godzinie pisze się wyrok i trzeba, abyśmy zrozumieli brzemię odpowiedzialności.

Beztroska nie śmie być naszym przywilejem, ani więdnące laury naszym posłaniem. Nic nie trwa w bezruchu, a najmniej ci, których pokonaliśmy przed 18 laty. Oni to po bezskutecznych i wyniszczających próbach rewolucyjnych pierwsi poznali prawdę i w gorączkowym tempie odrabiają przyczyny swej przegranej.

Przeciwstawieniem tej pracy, której nie przerwała normalizacja, może być jedynie nasza praca. Żadna protekcja Warszawy, żadne biadania ani gromkie hasła wiecowe nie zmieniają nieubłaganych praw, rządzących rzeczywistością. Nie odwróci ich także nienawiść i żar szowinizmu, ani modlitwa o cud.

To trzeba wiedzieć, liczyć tylko na siebie i wierzyć w siebie. Zmieniają się koniunktury zewnętrzne, układy wewnętrzne podlegają ostrym kryzysom, okresy rozsypki przychodzą po okresach koncentracji, ale to, co tutaj zostało ręką polską stworzone i umocnione, co broni się własną mocą, co wzrosło w ziemię dość głęboko, by przeciwstawić się burzom, — to trwa i przetrwa.

Ciągle i co dzień zdobywać trzeba tę ziemię dla przyszłych pokoleń, aby nie zmiotła ich z niej pierwsza żywiołowa zawierucha.

Mieć prawo do tej ziemi — znaczy być lepszym, silniejszym moralnie, ruchliwszym, zdolnym do wyższych poświęceń, bardziej karnym, lepiej zorganizowanym, przewodzącym nie z mocy ustaw ochronnych, lecz z nakazu życia. Nikt z nas nie jest tu żołnierzem zdemobilizowanym, każdy jest w służbie czynnej. Nikomu nie wolno cofnąć się w pielesze domowe i w postawie aspołecznej szukać ucieczki przed wysiłkiem, bo to oznacza dezercję. Nikomu nie wolno być biernym konsumentem, — każdy tu musi tworzyć i współdziałać w gromadzeniu wartości. Sądzić nas będą przyszłe pokolenia, błogosławiąc za czujność, za dalekowzroczność, za pracę wielką nad wzniesieniem kresowych bastionów, — lub potępiając za bezpowrotne zmarnowanie lat pokoju i samobójcze roztrwonienie owoców krwi żołnierskiej.

Jeśli trzeźwo i bez złudzeń wczujemy się w sytuację i jej nakazy, bezczynne noce wydadzą się zbyt długie i znojne dnie zbyt krótkie wobec ogromu zadań i zaniedbań"...

Antoni Czukowski

„TRADYCYJNA PRZYJAŹŃ" — DAWNIEJ I DZIŚ

II.

Wielki Marszałek, który od maja 1926 r. dźwigał na swych barkach pełne brzemię odpowiedzialności za losy Polski, pragnął kształtować rzeczywistość polską na miarę swej wielkości. Stała Mu przed oczyma wizja Polski — największej potęgi wojennej i kulturalnej na całym Wschodzie. Geniuszem swoim wybiegał daleko w przyszłość i obejmował horyzonty dla ludzi przeciętnych — nieosiągalne.

Świadomość ciężkiej sytuacji naszego Państwa nie była Mu oczywiście obca. Gdyby ponad głowami zaślepionych partyjników-karzełków nie był widział, że groźne położenie zewnętrzne w zestawieniu z ciężką niemocą wewnętrzną nieuchronnie prowadzą Polskę nad brzeg przepaści — nie byłoby Przewrotu Majowego!

Aby coś znaczyć na arenie międzynarodowej, aby móc prowadzić naprawdę owocną i samodzielną politykę zagraniczną, trzeba mieć S I Ł Ę. Dlatego też Józef Piłsudski odłożył narazie zasadnicze posunięcia zewnętrzne, zadawalając się tu na pewien czas utrzymaniem status quo i stopniowym wzrostem znaczenia Polski w świecie. Gros pracy poświęcił natomiast właśnie zadaniu wytworzenia p o l s k i e j s i ł y.

Dopiero z chwilą, gdy stosunki wewnętrzne zostały uporządkowane i ustabilizowane oraz gdy Armia nasza pod ręką Wodza pomnożyła swą wartość i siłę bojową w należytym stopniu — Wielki Marszałek przechodzi do zdecydowanej ofenzywy na odcinku polityki zagranicznej. Wejście płk. Józefa Becka do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, początkowo, jako wiceministra, a od 2.XI. 1932 r. jako ministra — znamionowało właśnie zasadniczą zmianę. W miejsce spokojnej, genewskiej pracy, którą prowadził z powodzeniem August Zaleski — miały przyjść przełomowe, żołnierskie decyzje.

Pierwsza z nich powzięta została na froncie stosunków polsko-sowieckich. Mając w ręku siłę — Marszałek nie potrzebował się obawiać rozgrywki. Postanowił wyprowadzić Polskę ze ślepego zaułku ciągłej defenzywy, z pozycji państwa stale będącego pod obstrzałem, o „krwawiącej" — jak głosiła wroga propaganda — granicy. Jednocześnie skoncentrował wysiłki celem zakończenia wyczerpującej walki na dwa fronty, która była nieunikniona wobec ściskających nas kleszczy współdziałania rosyjsko-niemieckiego.

W tym stanie rzeczy zawarcie paktu o nieagresji z Z.S.R.R. w 1932 r. było pierwszym wielkim sukcesem Polski. Odprężenie na wschodzie poważnie wzmacniało naszą pozycję państwową. Wprawdzie tylko połowicznie rozwiązywało nam ręce — pozwalało jednak w pierwszym rzędzie na zdecydowane postawienie sprawy na zachodzie.

Marszałek uznawał tylko dwie odmiany wzajemnego stosunku narodów: pokój lub wojna! Stan pośredni — permanentnego wrzenia — znajdował w Nim zawziętego przeciwnika. Gdy więc przed Hitlerem, jako nowym kanclerzem Rzeszy pojawiła się tego rodzaju alternatywa, gdy ten widział, że za słowami Marszałka stoi silna, do boju gotowa Armia — po krótkim okresie wahania wyrzekł słowo „pokój".

Deklaracja o nieagresji z Niemcami w r. 1934 była drugim, zasadniczym etapem na drodze do uzyskania przez Polskę naprawdę mocnej i niezależnej pozycji. Abstrahując bowiem od tego, jak się ułożą w przyszłości stosunki polsko-niemieckie — z układu tego osiągnęliśmy już zupełnie realne i doniosłe korzyści. Dzięki niemu przerwana została ostra antypolska kampania rewizjonistyczna i zagranica, oceniając pokojowy wysiłek polski, przekonała się zarazem, jak groteskowe były „opowiastki" o „krwawiącej" granicy polskiej... Przeprowadzając normalizację stosunków z obu wielkimi sąsiadami — Polska zdobywała tak upragnioną swobodę ruchów. Mogła wreszcie zakończyć niezdrowy stan w y ł ą c z n e j defenzywy i energicznie przejawić swą aktywność na innych odcinkach życia międzynarodowego, jako równorzędny i poważny partner.

Uchylenie krzywdzącego Polskę traktatu mniejszościowego, odrzucenie niefortunnego i niebezpiecznego dla nas projektu paktu wschodniego, jak również korzystne ożywienie stosunków z szeregiem państw europejskich — dowodzi najlepiej, że zdobycz ta nie jest tylko papierowa...

Dzięki śmiałym, odważnym posunięciom w krótkim stosunkowo czasie pozycja Polski i Jej znaczenie w świecie uległo zasadniczej zmianie.

Przestano na nas patrzyć, jak na małe, słabe, cieplarnianej opieki wymagające państewko, trzymające się trwożliwie pańskiej klamki. Zrozumiano, że Polska posiadła siłę, że siły tej jest świadoma i użytkuje ją dla pomnożenia swej potęgi, lecz nie dla jakichś awanturniczych przedsięwzięć. Zdobywszy wielkim wysiłkiem n i e z a l e ż n o ś ć swej polityki nie pozwoli się już zepchnąć do grona państw „rządzonych". Gotowa jest jednak zawsze ze wszyst-

kimi zgodnie współpracować, dając sama przykład pożytecznej dla całej Europy, konstruktywnej polityki.

Zrozumiano to za granicą — i nabrano do nas zaufania. I s z a c u n k u.

Geniusz Wodza wprowadził nas zdecydowanie na szlak m o c a r s t w o w o ś c i.

* * *

Jak odniosła się do tego nasza sojuszniczka Francja? Jak przyjęła ona nowe drogi polityki polskiej?

Zanim odpowiemy na to pytanie, warto może przypomnieć rady, jakich udzielał Polsce jeszcze w r. 1927 znany publicysta francuski p. Alfred Fabre-Luce. Ostrzegając w swej książce opinię francuską, że

„byłoby nonsensem szukać w ściślejszej solidarności z rządem warszawskim zwiększenia gwarancji obronnych Francji", która *„nie może liczyć na interwencję polską"*, a zresztą skuteczność tej ostatniej *„nie może być porównywana z obiecaną przez nas Polsce pomocą"*

p. Fabre-Luce pisze dalej co następuje:

„Spodziewamy się zresztą, razem z wszystkimi przyjaciółmi Polski, że oszczędzoną jej będzie jakakolwiek ofiara poważniejszej natury. Jest to możliwe, a zależy przede wszystkim od Polski samej, od sytuacji międzynarodowej, jaką zdoła sobie wyrobić, od jej siły wewnętrznej i od sympatii, jakie potrafi sobie zaskarbić. Jeżeli będzie dostatecznie roztropną i zręczną, jeśli doprowadzi do politycznego i ekonomicznego zbliżenia z Niemcami, zanim jeszcze przyjdzie czas na dyskusje o sprawach terytorialnych, to, być może poprawki granic Polski będą w nieskończoność odkładane, albo też przeprowadzone drogą kompensat ku ogólnemu zadowoleniu..."

— Ciekawe rady, nieprawdaż? Opierając się na tej podstawie, należałoby przypuszczać, że zastosowanie się Polski do tak cennych wskazań wprawi Francuzów w szał radości...

Polska poszła w tym kierunku. Wprawdzie bez ponoszenia ofiar — znormalizowała jednak swe stosunki z Niemcami. I jakiż był odzew we Francji?

Już zawarcie paktu nieagresji z Z.S.R.R. przyjęte zostało w Paryżu wyraźnym niezadowoleniem, jako zbyt samodzielne posunięcie Polski.

Było to jednak niczym w porównaniu z reakcją, jaką wywołało we Francji ogłoszenie polsko-niemieckiej deklaracji o nieagresji. Opinia francuska zapomniała, że sama wymawiała Polsce Jej niebezpieczne zagrożenie i doradzała porozumienie z Niemcami, że i sama niejednokrotnie, choć bez powodzenia, próbowała się z nimi dogadać. Większość pism francuskich wpadła w istny szał — ale nie radości... Ataki na Polskę przebrały wszelką miarę przyzwoitości. Mimo, iż deklaracja zupełnie nie stała w sprzeczności z sojuszem polsko-francuskim — co było wyraźnie w niej zaznaczone — oskarżano nas o zdradę przyjaźni, o tajne przymierze z Niemcami, imputowano najbardziej fantastyczne zamierzenia i plany — byle tylko nie spojrzeć w oczy jasnej i naturalnej rzeczywistości.

Polska spokojnie kontynuowała swą konstruktywną politykę, nie przejmując się zbytnio swoistą reakcją pracy francuskiej. Trzeba było mieć nie lada silne nerwy i zimną krew. I silne nerwy zwyciężyły. Fala inwektyw i oszczerstw zaczęła stopniowo opadać, a na jej miejsce przyszły refleksje: Dlaczego Polska tak postąpiła? Czy naprawdę zdradziła Francję? Czy aby nie miała Ona racji? I czy istotnie sojusz polsko-francuski daje korzyści tylko Warszawie, niepotrzebnie obciążając Paryż?...

* * *

Pamiętamy wszyscy podróż Naczelnego Wodza do Francji jesienią 1936 r. Wiemy też, że we wrześniu ub. r. bawił w Paryżu min. Beck. Warto może sobie uświadomić, jak przyjęła te fakty prasa francuska.

Oczywiście możemy tu przytoczyć tylko drobną cząstkę tego, co zostało wówczas napisane — ale i ta cząstka winna pozwolić Czytelnikom na wysnucie odpowiednich wniosków. Na tle niezwykłej serdeczności, z jaką witano polskich gości oraz powszechnego, mocnego podkreślenia tradycyjności przyjaźni polsko-francuskiej — rzucono też szereg uwag, które w zestawieniu z dawniejszymi wypowiedzeniami francuskimi niezwykłej nabierają wymowy...

Najpoważniejszy dziennik francuski *„Le Temps"* stwierdził m. in., że

„Polska potrzebuje przyjaźni Francji, a Francja jest najbardziej zainteresowana tym, żeby Polska była silna. W tym duchu zacieśnienie węzłów, łączących Francję i Polskę może się więc najbardziej pozytywnie przyczynić do zagwarantowania ogólnego pokoju".

Organ lewicowy partii radykałów społecznych *„L'Ere Nouvelle"* podkreśla:

„Wyniki sojuszu zostały skonkretyzowane. Jest to akcja najlepsza, najpłodniejsza w skutki, najszczęśliwsza pod względem bezpieczeństwa i utrzymania pokoju".

Prawicowe, lecz popierające pakt z Sowietami *„L'Echo de Paris"* snuje takie refleksje:

„Czasami zdawało się, że Polska szuka gdzie indziej gwarancji bezpieczeństwa. T r z e b a b y j e d n a k z a s t a n o w i ć s i ę n a d t y m, c z y c h w i e j n a p o l i t y k a, k t ó r ą p r o w a d z i l i ś m y o d r o k u 1920 n i e d a ł a j e j d o t e g o p r a w a. Lecz my, którzyśmy nie przestawali w ciągu tych 15 lat czuć dla niej wiernej i silnej przyjaźni, przyklaskujemy z radością

wydarzeniu, które nadaje z powrotem znaczenie sojuszowi i daje zadośćuczynienie uczuciu". (Wszystkie podkreślenia nasze— przyp. autora).

Prawicowa „*La Liberté*" stanowczo stwierdza, że j e d y n y m sojuszem, na jaki Francja naprawdę może liczyć, jest przymierze z Polską.

„Sojusz polsko-francuski jest w każdym razie b a r d z i e j n a t u r a l n y, niż był nim kiedykolwiek sojusz francusko-rosyjski, lub też pakt francusko-sowiecki".

„*Paris Midi*", podkreślając wagę i konieczność ścisłej współpracy wojskowej polsko-francuskiej, przytacza opinię głównodowodzącego armią francuską, gen. Gamelin, który po powrocie z Warszawy oświadczył:

„Uważam się za znawcę w kwestiach wojskowych i mogę powiedzieć, że nigdy nie widziałem armii tak wydoskonalonej i tak groźnej, jak armia polska".

„*Le Jour*" ubolewa, że Francja nie mogła zrozumieć, iż Polska, położona między silnymi Niemcami i Rosją prowadzić musi specjalnie ostrożną politykę, licząc przede wszystkim na swą armię.

„*L'Europe Nouvelle*" pisze nader słusznie:

„Należy podkreślić, że polityka polska opiera się na dyrektywach Marszałka Piłsudskiego. Jest ona nieodłączna od Jego spuścizny politycznej i liczy się z rzeczywistością. Mało jest dziś Polaków, podających w wątpliwość korzyści dla Polski z układu niemiecko-polskiego, krytykujących nieufny stosunek do Sowietów, a nawet sposób, w jaki Francja rozumiała i wykonywała przymierze z Polską".

Nawet komunistyczna „*L'Humanité*" wytyka dyplomacji francuskiej w stosunkach z Polską błąd w postaci zawarcia paktu czterech.

Rzecz niezmiernie charakterystyczna: o niewłaściwym podejściu do Polski pisze także skrajnie prawicowa „*L'Action Francaise*", tylko w nierównie mocniejszy sposób:

„We Francji nareszcie zrozumiano, że Polska jest wielkim państwem, które należy traktować, jako równorzędnego partnera i którego interesy muszą być wzięte pod uwagę. Można stwierdzić, iż błędy psychologiczne, które kilkakrotnie popełnili Francuzi w rokowaniach z Polakami, były przyczyną ochłodzenia stosunków".

Ten sam temat podejmuje m. in. „*Je Suis Partout*", podkreślając:

„Zapomniano o tym, że nawet w pełni flirtu z Niemcami Polacy zawsze głosili, że sojusz francusko - polski pozostaje nienaruszony. 7 marca 1936 r., (t. zn. w chwili wkroczenia wojsk niemieckich do Nadrenii — przyp. aut.) płk. Beck proponował naszemu ambasadorowi natychmiastową mobilizację: Polska była gotowa wziąć udział w demonstracji zbrojnej, a nawet w wojnie prewencyjnej."

„*La Tribune des Nations*" zrozumiała „*Sekret polityki p. Becka*" i w artykule pod tym tytułem pisze m. in. co następuje:

„Jaka by nie była konstelacja polityczna w Polsce, nie wolno jest jej wybrać jednego z tych dwóch sąsiadów. Celem, całą treścią jej polityki zagranicznej jest utrzymanie równowagi, ponieważ tylko ta równowaga może gwarantować pokój na Wschodzie."

Prawicowy „*Journal des Débats*" zaznacza, że

„stanowisko Polski, będące po wsze czasy czynnikiem pokoju europejskiego, nabiera w obecnych okolicznościach znaczenia, które nie potrzebuje wyjaśnień."

„*Agence Technique de la Presse*" dochodzi do wniosku, że

„polityka polska pod kierunkiem min. Becka doprowadziła do wytworzenia atmosfery pokoju w tej części Europy, gdzie przez czas dłuższy istniała groźba konfliktów!!!"

Nawet socjaliści francuscy, którzy do Polski w ogóle, a naszej nowej polityki w szczególności odnosili się zawsze w sposób bardzo krytyczny, jeśli nie wręcz nieprzyjazny — zrozumieli ostatnio i uznali plusy polityki polskiej. 28 grudnia ub. r. socjalistyczny „*Populair*" zamieścił wielki artykuł, stwierdzający, że sojusz polsko - francuski trwa nienaruszony, że normalizacja stosunków polsko - niemieckich w niczym go nie podważyła, a przeciwnie, właśnie ta normalizacja była przez opinię francuską pożądaną i zalecaną... Że więc późniejsze oburzenie we Francji nie było słuszne, a wywołała je właściwie samodzielność Polski, która nie zapytała się Francji o zdanie i nie prosiła jej o pośrednictwo...

Materiały do następnego numeru (artykuły, wiersze, reportaże, recenzje, zdjęcia, rysunki, korespondencje i t. p.) prosimy nadsyłać do dn. 20 lutego b. r.



Jan Marszałek (Klub art. „Ośmiornica", Łowicz)

O D L O T Y

H. Ćwiklińskiej

W dni szare, zimno jesienią nasiąkłe smutkiem obficie
wplata się dzika wichura, co dachy domów podrywa —
przez ciche puste ulice przechodzi milczące życie
i z drzew zczerniałych pożółkłe, zeschnięte liście obrywa —
— liryczny smutek miasteczka na Twojej twarzy się błąka,
jak nikły uśmiech — wspomnienie czegoś, co jeszcze nie było —
zmierzch — którym szara jesienność w bezbarwach nieba nasiąka —
smętnym urokiem opada na naszą jesienną miłość —
— błądzimy w ściemniałej ciszy pełni tajemnic i zwierzeń
cisi jak duchy owiane półchłodem mgieł zamyśleniem —
nad nami przeciąga górą ołowiane bezbrzeże
i ciąży groźnie nad nami złowróżbnie jak przeznaczenie —
Nie smuć się, miła, odpłyną w chmur niepogodzie ciężarnej
na skrzydłach spienionych wiatrów dni zapomnianych powroty —
patrz: oto klucze żórawi na niebie kołują czarnym
i miłość naszą jesienną późnym żegnają odlotem —

Henryk Nowak

W I Ś N I E.

Rano o słońcu czerwonym
Idę w świat wiśniowe podsłuchiwać pszczoły
jak brzęczą — i patrzeć czy miód już słodki, —
i kłonię się wiśniom w takt wietrznych pokłonów,
ćwierkam za wróblem — piosenki półtonem
i gubię się w pajęczym motku...
Szeroka jest droga obok was o wiśnie
i owoc wasz słodki, soczysty, brzemienny
miłośnie się z kwiatów wynurzył i stężał.
Radość wam karminowe rumieńce wyciśnie,
wiatr drzewko uciszy kołysaniem sennym,
a mnie się miłość wśród was może kiedyś przyśni..

Jan Wolff (Zduńska Wola)

N O C L E T N I A.

To noc w słonecznych strzechach drzemie
i zapach chłodny bluszczu.
To rudy księżyc poi ziemię
rozlewną falą tłuszczu.

To domy śpią — chochoły letnie —
a wicher wyje, trąca żagle
i duch melodii drżącej fletni
odmyka głąb słowiczą nagle.

A buki żółkną, księżyc hula,
biblijny w sadzie kładzie powiew.
Świat tarza się w płaczliwych tiulach
i w sen zamyka oczy sowie.

Henryk Nowak

CZARNY CZŁOWIEK.

Rechoczącą kanonadą
walimy kostkę na wagon
czarni robotnicy.
Górnik nasz brat, ale my nie górnicy,
my ludzie bez zawodu,
węglarze...

Szufla połyskiem lustrzanym zabłyśnie
pod słońce, jak nasze czoła spocone,
na wargach pył nam usiadł,
jak kurz na przydrożnych wiśniach
czerwonych...

Walimy rechoczącą kanonadą
na wagon: postęp, kulturę, przemysł.
Mocne mamy ręce, uśmiechnięte twarze,
my ludzie bez zawodu
z ulicy
węglarze.

Poniżej 200-tu m.


TO RADIO: QSO NR.
CONFIRMING OUR QSO AT MEZ, ON 1935.
UR SIGS WERE
W =
R =
T =
QSB =
QRM =
QRG =
SP1BK
XMITTER
MO – PA 50 WAT. INPUT ANT. ZEPP-ELIN 20 MTR.
RCVR
REINARTZ 1–V–2 ANT. INDOOR
DX: CONT. COUNT:
PSE QSL DR OM ES 73 DE OP. W. Sławoniewski

Pocztówka nasłuchowa.

Hallo! W koncercie chopinowskim...
Hallo! Tu skrzynka radiowa...
Hallo! Nadajemy komunikat policyjny...
Hallo! Tu Lwów...

Oto nasze codzienne radio. Chleb powszedni szarego człowieka, przepuszczony przez filtr płyty, still'a i mikrofonu. Radio z „Anteny", 8-miolampowego Philipsa czy Detefonu, radio w domu, w szkole i w biurze. Wszędzie...

Są jednak aparaty nie fornierowane ebonitem czy triolitem, bez monosterów i „oczu magicznych", bez oświetlonych skali i chromosykowanych okuć: aparaty krótkofalowe.

Bo, trzeba wiedzieć, że i w eterze są granice: to moje, to twoje, tego znów ci nie wolno ruszać. Eter rozparcelowano na działki, jak Wilanów i podzielono między państwa.

Amatorskie stacje krótkofalowe pracują na falach ultrakrótkich; stacje te są bodaj że najżywotniejszymi organizmami radiofonii. Na zachodzie krótkofalarstwo staje się coraz bardziej popularne, wchodzi w modę. Musimy jednak rozróżnić dwa rodzaje tej gałęzi radiofonii: 1) krótkofalarstwo specjalne — zorganizowaną służbę łączności dla celów armii, marynarki czy lotnictwa, 2) krótkofalarstwo amatorskie, zorganizowane w międzynarodowej federacji.

Większość amatorów posiada stacje nadawczo-odbiorcze i utrzymuje z sobą stały kontakt przez korespondencję nasłuchową (z powodu niemożności jednoczesnego kontaktu odbiorczo-nadawczego). Wygląda to w ten sposób, że amator, który dokonał nasłuchu, wysyła pocztówkę z adresem uzyskanym w czasie audycji a składającym się z czterech liter i cyfry, ułożonych według kodu międzynarodowego. W tym adresie pierwsze dwie litery oznaczają państwo, w którym mieszka adresat (np. SP. Polska), trzecia i czwarta są kryptonimem adresata np. B.K.— Baltimore Kilogram. Oprócz tego w państwach o wielkim nasileniu „ruchu" krótkofalowego np. w Anglii i w U. S. A. istnieją jeszcze w powyższych adresach pewne kombinacje cyfrowe. Taka pocztówka zawiera zazwyczaj datę i godzinę nasłuchu, czas, według którego nasłuchu dokonano i adres słuchacza. Zasadniczo krótkofalowcy posługują się brzęczykiem, jeśli jednak nawiążą bliższy kontakt, wtedy przechodzą na fonię, t. zn. na porozumienie się dźwiękowe (słowne).

---

gadu-gadu

O PEWNEJ GAFFIE

Są pewne takie rodzime, rodackie sprawy i zjawiska, które nawet człowieka dalekiego wszelkim wybujałym szowinizmom doprowadzają do złości, — w danym wypadku do złości bardzo usprawiedliwionej. Chodzi mi o tak modny kompleks niższości u znakomitej większości naszych rodaków, w odniesieniu do wszystkiego, co pokazujemy szerszemu światu.

Temat ten, tak już przewałkowany, nabiera nowych barw po wystawie paryskiej. Każdy szanujący się polski obywatel, wracając z Paryża, uważał za swój święty obowiązek skrytykować pawilon polski w sposób możliwie jak najdokładniejszy i jak najbardziej dyletancki. Oburzenie, że nie wystawiliśmy wielkiego, monumentalnego gmachu; że wszystko w pawilonie niepozorne; że portrety nieudane; że... wiele innych. Każdy z zwiedzających pawilon był już zgóry przygotowany, że w polskim pawilonie nic dobrego nie może zobaczyć. Każdy był zgóry uprzedzony przez różne osoby z licznymi stosunkami, że na organizatorów i kierowników pawilonu dali ludzi bez żadnych kwalifikacji, że wielkie sumy szły nie wiadomo na co. Każdy rozkładał ręce ze świętym oburzeniem i stwierdzał, że „u nas to tak zawsze". Nikt nie chciał widzieć stron naprawdę dobrych, a wady— oczywiście — wyolbrzymiał w niemożliwy sposób. Nikt nie poddał pawilonu krytyce naprawdę rzeczowej i bijącej w jego artystyczną stronę, a wszyscy zachłystywali się frazesami oburzenia. Rzeczowe argumenty wysuwane w obronie pawilonu, zbywane były śmiechem i odpierane wymownym dowodem: u

Z wizytą u krótkofalowca.

W Warszawie. Właściciel stacji jest z zawodu technikiem telekomunikacyjnym, radioamatorstwem interesuje się od 10-ciu, krótkofalarstwem od 4-ech lat. Ma pocztówki nasłuchowe z Yokohamy, San Francisko, z Tel-Aviv...

— Co pana skłoniło do założenia stacji?

— Czytałem Radio. Było tam mnóstwo wiadomości o krótkofalarstwie zagranicznym. Zainteresowałem się, spróbowałem, no i — jak pan widzi...

— To ciekawe, bo ludzie naogół poza biurem czy urzędem z niechęcią wracają do swego rzemiosła.

— No tak, ale ja ten zawód traktuję raczej z zamiłowania.

— Jakie są według pana szanse naszej radiofonii?

— Narazie znikome. Mamy zbyt mało miejsca w eterze. Często nawzajem się zagłuszamy. Zresztą krótkofalarstwo jest u nas jeszcze mało rozpowszechnione. Poza tym wielu ludzi, którzy chętnie by w tej dziedzinie pracowali, odstrasza konieczność uzyskania pozwolenia na założenie stacji, co na prowincji bywa nieraz traktowane dość biurokratycznie.

— Jak możnaby temu zaradzić?

— Moim zdaniem należałoby wprowadzić obok przysposobienia wojskowego, zwłaszcza w kołach zawodowych, przysposobienie radiotechniczne, które poza rezultatami konkretnymi w postaci zagęszczenia sieci krótkofalowej, dałoby doskonały materiał do armii, do pułków łączności.

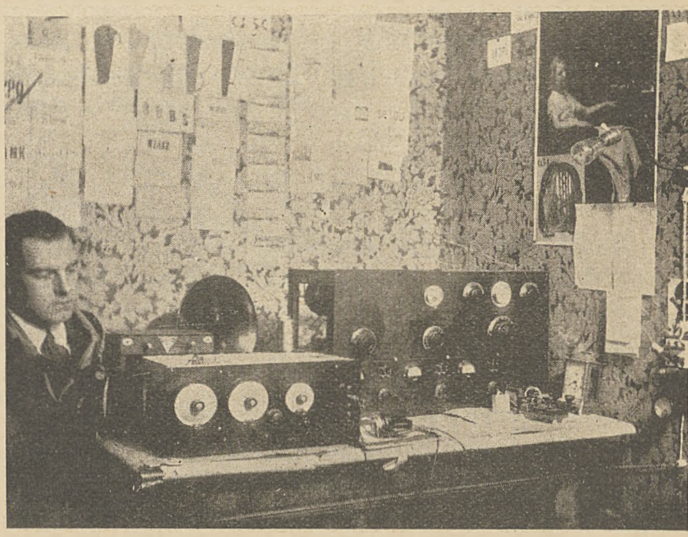
— A jak się przedstawia ilość nasłuchów polskich zagranicą?

— Trudno dać mi ścisłą odpowiedź, bo nasza korespondencja nie oddaje całokształtu tych zagadnień. W każdym razie według naszej klubowej statystyki ilość nasłuchów od r. 1934 wzrosła dwukrotnie...

Przechodzimy do aparatu. Ta niezliczona ilość cewek, transformatorów, oporów pojedyńczych i podwójnych uzwojeń może odstraszyć zwykłego śmiertelnika. Strojenie aparatu i wyłapanie stacji nadającej na fonię z tej całej gmatwaniny brzęczeń jest nadzwyczaj trudne, ponieważ silne stacje krótkofalowe do propagandy zamorskiej (Daventry, Bari, Zeesen) zagłuszają słabe brzęki. W słuchawkach odzywa się wreszcie jakiś ludzki głos w nieznanym, krótkosylabowym języku...

Po półgodzinnej rozmowie żegnam swego sympatycznego rozmówcę.

Michał Janiak



Stacja krótkofalowa, która uzyskała połączenie ze wszystkimi kontynentami świata.

---

nas nic nigdy zrobić nie potrafią, a proszę spojrzeć na pawilon sowiecki i niemiecki! Gdy podniosły się głosy, że u nas jest prawdziwa sztuka, sztuka czysta i naprawdę wielka, a w tamtych dwóch blichtr i bicie na efekt, dano do zrozumienia, że „obrońcy" pawilonu muszą mieć w takiej ocenie jakiś osobisty interes.

No i tak utarła się opinja o pawilonie. Opinja jak najbardziej krzywdząca. Niewątpliwie pawilon miał wady, niewątpliwie ginął — zewnętrznie biorąc — przy kolosach sowieckich i niemieckich. Ale miał jedną wielką zaletę. Zaletę tym większą, że z myślą o niej był budowany. Nasz pawilon był pawilonem sztuki. Był pawilonem przeznaczonym dla znawców i dla smakoszów. Nie wystarczało spojrzeć nań mniej lub więcej bezmyślnie i zachwycić się, oszołomić się. Tam trzeba było patrzeć długo, uważnie i myśleć. A zrozumiawszy go — podziwiać.

Pawilon nasz miał jedną wadę. Wadę tę mają zresztą wszystkie dzieła prawdziwej sztuki. Był on dla tłumu, dla masy niezrozumiały. Był nieco nawet w swej sztuce „przefilozofowany". Zrobiono go za mądrze. To jest ta wada, którą można przy krytyce pawilonu wysunąć. A w rozmowach o wystawie jakoś nikt tego właśnie nie podkreślił. Można powiedzieć, że pawilon na wystawę tego rodzaju nie nadawał się, że nie oddziaływał na szerokie masy (a że nie oddziaływał, to moglibyśmy się przekonać ze zdań tych, co wrócili i nic nie zrozumieli), a tym samym nie spełnił roli propagandowej. Propagował artystów i estetów— nie szerokie masy. Dzieła sztuki często mają to do siebie, że nie zrozumiane przez ogół, nie działają na niego. Przez to jednak nie przestają być dziełami godnymi pochwały.

Ta cała sprawa wystawy łączy się ściśle z tym naszym rodzimym kompleksem. Pawilon zrozumiałoby dużo więcej osób, gdyby nie były już zgóry nastawione, że „my nic dobrego nie pokażemy". Pokutuje u nas jeszcze wstrętny duch zapatrzenia w zagranicę przy jednoczesnym obniżaniu własnych wartości i możliwości. Ten duch jest niesamowicie szpetny i nieprzyjemny, a ogarnia duże rzesze naszych „patriotów" i to naogół z gatunku tych, co ze swoim krzykliwym patriotyzmem są w każdej chwili gotowi popisywać się urbi et orbi.

Najbardziej paradne jest zaś to, że obeśmiany nienawistwie i nieprzystojnie przez niektóre nasze sławy dziennikarskie — pawilon został przez jury wystawowe zaszczytnie wyróżniony i nagrodzony, pozostawiając daleko w tyle owe pompatyczne świątynie propagandy, które tak przypadły do gustu i serca niektórym naszym prasowym „clerkom". No i cóż, panowie? „Wpadunek", co?

K. Koźniewski.

Z kursów zimowych Straży...

Kbks, narty i ornak

Leży przede mną upstrzony czerwonymi i niebieskimi znaczkami liter zeszłoroczny terminarz. Otwieram tydzień 52 = grudzień i pod datą 27 widzę nierówny rząd koszlawych liter: „kursy zimowe S. P.“, zagubionych w tłumie innych mniej i więcej ważnych terminów. A obok nowa, brązowa książeczka z wytłoczonymi w srebrze cyframi 1938 i wykaligrafowanym pod datą 6 stycznia samotnym napisem: „konkurs“ co w moim tajemniczym języku oznacza po prostu zakończenie kursów. Oto zamknięta w dwa napisy historia 10 białych dni:

Wstęp.

Przed świętami. Na ulicach leży śnieg. W Warszawie, w Kołomyi i w Tomaszowie. Śnieg jest biały, ale nie wszędzie — w Warszawie jest brudno biały, w Tomaszowie kremowy, polewany lekką warstwą rdzy ściekłej z fabrycznych kominów, rdzy dymu, niedostrzegalnego szaroczerwonego pyłu, który odmiennie od innych śniegów barwi śnieg przemysłowych miast i osad. Najpiękniejszy jest śnieg w Kołomyi, na Zarynku — leży ogromnymi błękitnymi hałdami zasp, nie topnieje w słońcu, pławi się rozkosznie w mandarynkowym blasku i śmieje się do ludzi refleksem tysiąca zaklętych w kryształ kropli.

Ostrzępił drzewa osędziałą okiścią, zawisł na ciężkich płatach smrekowych gałęzi, na bezlistnych konarach dębów i jesionów, subtelną, białą kresą podkreślił smukłość przydrożnych topoli, misternie uhaftował strzępiaste kępy jałowca; pokrył białym prześcieradłem strzyżone dywany ozimin i głębokimi fałdami ułożył się na późną jesienią zoranych kartofliskach.

Widać to doskonale z okna wagonu. Wciśnięty w sferyczny kąt ławki i dwu ścian, przez niezupełnie zamarzniętą szybę patrzę; nade mną na półce leżą związane rzemieniem dwie bratnie deski, odzywające się od czasu do czasu cichym, metalicznym poszczękiem więźb. Obok nich troskliwie wyładowany przez matkę plecak. Na kolanach otwarte na rozdziale „Straż Przednia“ Wskazania Skwarczyńskiego.

I tak we wszystkich pociągach, idących dziś do Lidy, Skolego czy Lublina, w każdym prawie wagonie jest ktoś, nad kim leżą narty i plecak. I „Wskazania“.

Kursy.

Niepokojąco dziwny jest pierwszy dzień na każdym obozie czy kursie. Zwłaszcza na kursach centralnych. Nie wiesz jeszcze, jakiego będziesz miał sąsiada, nie wiesz jeszcze, gdzie pójdzie na realizację, jak się uda pierwsze strzelanie, czy na kursie będzie „schwitz“, czy całodzienna siesta przeplatana posiłkami.

———————

W Hołówkowie też był śnieg, i to nawet duży. Dlatego wyszkolenie narciarskie dało dobre rezultaty (— zaświadczenie o tym, że ob. X.Y. jest zaawansowanym narciarzem, wydane przez miejscowe władze w.f.—).

...Świetlica. Przez okna wpadają pomarańczowe refleksy słońca. Szereg ciemnych, pochylonych głów. Temat dyskusji z dziedziny zagadnień gospodarczych i społecznych Polski Współczesnej: „Centralny Okręg Przemysłowy, jako wyraz ruchu inwestycyjnego“.

KARCZ

GALERIA MOICH



Prymus...



kapuje ...polski...



kopuje mortę...

— Musimy zrozumieć istotę stworzenia C.O.P-u. Dalecy jesteśmy od doskonałości w projektowaniu i tworzeniu. Tylko zainteresowanie najszerszych mas aktualnymi problemami dozbrojenia gospodarczego i militarnego czyli t. zw. dozbrojenie moralne może stać się zasadniczym punktem wyjścia w akcji podnoszenia naszego życia do poziomu zachodnio-europejskiego.

— Tak. Nie należy zapominać przy tym, że rzeczą najważniejszą w naszej dzisiejszej sytuacji gospodarczo-politycznej jest skierowanie wysiłków całego narodu w jednym określonym kierunku. Kierunek może być z równym powodzeniem nazwany frontem C. O. P-u czy F. O. N-u. To nie jest ważne. Ważne jest to, że całe społeczeństwo bez reszty winno na linii tego frontu równać. Przekleństwem dnia jest wielo- i różnokierunkowość akcji społecznej.

— I jeszcze jedno. Nie należy kierunku akcji narzucać. Kierunek winny dawać doły, a nie góra. Ważniejszy jest ochotniczy zaciąg do junackich hufców pracy, do pracy na terenie ośrodka przemysłowego niż cykl artykułów programowych w pismach codziennych. Nie stawiam wcale sprawy skrajnie, nie wykluczam tym samym konieczności propagandy. Uważam tylko, że droga do dobra społecznego wiedzie nie przez okólniki i rozporządzenia lecz przez rezolucje i uchwały...

Zamykają się notatniki, pustoszeje sala. Na progu Stanicy prosto w słońce bije zdrowy młody śmiech. Tak dobrze teraz przypiąć do ciężkich butów dwa długie, dziwnokształtne płaty drzewa, odepchnąć się mocno raz lewym, raz prawym kijem i długimi wypadami, śladem szlakowego ruszyć w rozedrganą słońcem i mrozem przestrzeń. Jedziemy zapanbrat, kierownik zespołu i instruktor, uczeń i nauczyciel — jedziemy w słońce...

Wieczory. Prawdziwe zimowe, pod granatowym parasolem nieba, nabijanym mosiężnymi gwoździami gwiazd. Lakierowane fosforycznym blaskiem księżyca wieczorny w białoruskich wsiach. Najpierw długa, skrzypliwa droga nart, znacząca ślad ze Stanicy do Choroszek czy Ogrodników, droga z sercem nabrzmiałym niepokojem i ciekawością: — Jaka też będzie ta wieś? A potem wieczornice, gdy staramy się wszyscy jak najprostszym językiem, codziennymi słowami odkrywać przed tymi ludźmi, dla których Polska do niedawna była rzeczą odległą, odkrywać wyimaginowany świat prawdy i zbratania, świat bez cienia fałszu, może taki, jak sobie wymarzył Żeromski w „szklanych domach" a może dziś budowany rękoma tysięcy robotników Wybrzeża i Sandomierszczyzny. Najistotniejszą rzeczą jest to, że ci ludzie nam wierzą i ufają, że urządzona przez nas „choinka" ma dla nich o wiele głębszy sens, niż dla nas w szkole czy w domu.

— — —

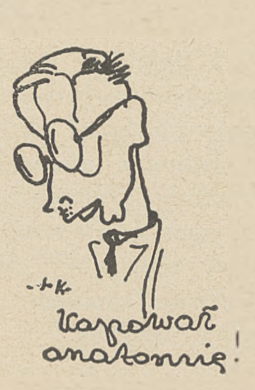
Skole.

Jest nas bardzo wiele. Nas, to znaczy młodych, nie tylko strażowców ale i terminatorów i uczniów-rzemieślników, którzy wspólnie z nami przechodzą kurs pracy społecznej. Na każdym kroku sta-

c. d. na str. 14.

B L I Ź N I C H





* * *

NA ROZDROŻU.

Tyle przede mną biegnie dróg
siecią tajemnic skrzyżowanych...
że nie wiem, gdzie właściwy próg,
gdzie życie stawi gmachu ściany.

I tam poszedłbym... i tu rad --
pozostać?... może lepiej tam?
...niepokój znaczy myśli ślad,
każdą godzinę krzyczy kłam!

I tak stanąłem — i bez ruchu
zastygłem na dróg skrzyżowaniu
— wiatr ostrym świstem rani ucho
w najcięższą chwilę wybierania!

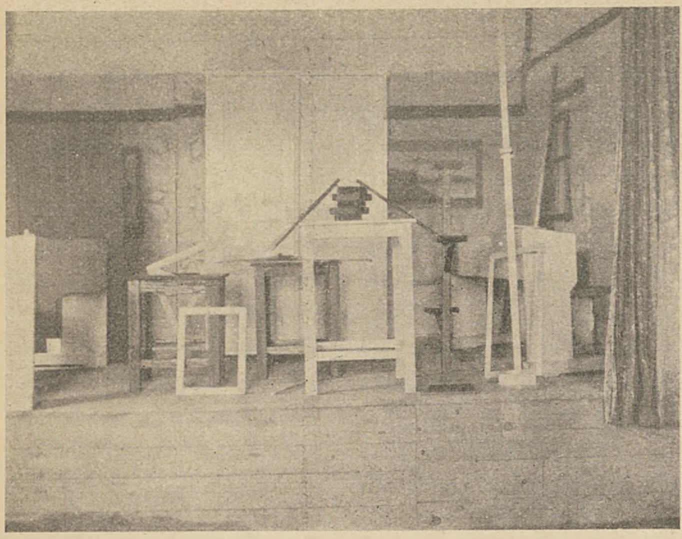
ZE STAREGO PAMIĘTNIKA.

Mamo! Na naszym wzgórzu kwitną teraz wrzosy,
Bladoliliowych tonów delikatną gamą —
Jesień długą nić snuje srebrną jak Twe włosy —
Płacze deszczem tak czystym, jak łzy Twoje, Mamo!
Złotem liści szeleszczą parkowe aleje,
Dla mych wspomnień się stają wyzłoconą ramą —

Czasem słońce lękliwie — blado się zaśmieje,
Tak jak kiedyś twarz Twoja śmiała się o Mamo!
Jak nić lata babiego zerwały się losy,
Tylko jesień jest smutna i szara tak samo —

A na wzgórzu zakwitły już liliowe wrzosy
Tylko Ty ich już nigdy nie zobaczysz Mamo!

Baśka Kędzierzanka
Kraków, VII. P. G. Ż.



Pomoce szkolne, wykonane przez Strażowców.



Wyprawa narciarska. (z kursu w Skolem).

ramy się zaakcentować, że jesteśmy jednej krwi i że jedna nas wiąże idea, idea silnej Polski. Stu młodych ludzi oderwanych na kilkanaście dni od książki i warsztatów postanowiło na swoim skromnym odcinku stworzyć podstawy współpracy. Razem łamiemy przysłowiowy „mur między nami", poznajemy się wzajemnie i po kilku dniach przychodzimy do wniosku, że dzielące nas przeszkody psychiczne nie są zbyt wielkie, ani zbyt straszne — pokonujemy je z łatwością.

Poznajemy istotny sens słowa „realizacja". To nie tylko pogadanka wygłoszona na wsi i akumulatory od „ornaków" odgniatające obolałe plecy, to nie tylko wypad w teren lub tak modny ongiś wywiad społeczny. Realizacja w naszym strażowym języku to przekształcenie i tworzenie oblicza nowej wsi, to przypominanie na każdym kroku, że tu jest Polska, to kładzenie zrębów i umacnianie spółdzielczości.



abc dla szkół kresowych.

Podzielony na trzy porcje: narciarską, strzelecką i świetlicową dzień, zakończony pracowitym kuligiem skjöringowym do wsi, wraz ze słońcem włazi za wierchy.

Kładą nas do snu „Wszystkie nasze" — w okna bije wiatr...

———————

Lublin — trybunalski gród.

Kurs „wytwórczy" pomocy naukowych dla szkół powszechnych. Młotki i gwoździe, strugi i pilniki, wszystko w ruchu. 24-ch uczestników kursu przez 5 dni jego trwania sporządziło 500 sztuk pomocy naukowych.

Ciasna narazie była sala, zamknięta czterema ścianami i przepełniona sprzętem, od którego odwykła albo jeszcze nie zdążyła przywyknąć ręka. Dziwnie ciężko posuwał się pierwszego dnia strug po nierównej płaszczyźnie krzywo urżniętej przez kolegę deski. Plamiła dłonie politura, którą napuszczano taśmy miernicze, wylał się klej z kociołka.

Ale potym już wszystko szło sprawnie. I strugnica nie była zawalona tuzinem sprzętów, których w tej właśnie chwili szukali koledzy i młotek równo i dokładnie dotykał gwoździ. Ustało oblężenie wiertarki i tokarni, pot już nie zalewał oczu z nieudolnego pośpiechu—rozpoczęliśmy pracę seryjną. „Zupełnie" jak w zakładach Forda. Dwóch cięło drzewo, trzech pracowało zdzieraczami, trzech gładzikami — co chwila spod rąk czwórki lakierników padały na stół wykończone sprzęty. Pod koniec kursu każdy pracował jak robot, ruchy nabrały pewności, stały się zautomatyzowane jak u starych rzemieślników.

———————

Jak dobre są wspomnienia tych wszystkich radosnych, bratnich dni. Dowiedliśmy sami sobie, że jesteśmy potrzebni. Że nasza praca to nie frazes i nie czcza gadanina, dowiedliśmy sami sobie, że dla chętnych młodych ramion zawsze się znajdzie opuszczony pług i ugór, który trzeba zaorać.

Nowy znój pracy czeka nas w czasie nadchodzących ferii! Pójdziemy szukać zapomnianych, opuszczonych ugorów...

Czesław Domaradzki.

KRONIKA „STRAŻY PRZEDNIEJ"

ZEBRANIE RADY NACZELNEJ.

W dniu 19 grudnia 1937 r. w lokalu Organizacji odbyło się doroczne zebranie Rady Naczelnej, w którym wzięło udział 30 osób wraz z przedstawicielami Min. W. R. i O. P. i Kuratorów Okręgów Szkolnych. Rada Naczelna wybrała Naczelniczką Organizacji p. Irenę Posseltówną oraz Naczelnikiem p. Mariana Witkowskiego. W dyskusji nad kierunkiem i charakterem prac Organizacji podkreślono konieczność zwrócenia większej uwagi na problemy samokształcenia w zespołach. Ponadto Rada Naczelna zatwierdziła preliminarz budżetowy na r. 1937/38.

AKCJA ZIMOWA.

W ramach akcji zimowej odbyły się następujące kursy:

Kurs instruktorski w Stanicy od 27.XII. do 7.1.38. Do programu kursu weszły zagadnienia samokształceniowe i ideologiczne, technika pracy w zespołach, przeszkolenie strzeleckie i przeszkolenie narciarskie. Uczestnicy kursu w liczbie 10-ciu zdobyli odznaki strzeleckie, oraz stopień zaawansowanego narciarza. Sześciu uczestników złożyło egzamin na sędziów strzelecko-łuczniczych. Równocześnie od 3.I. do 7.I.38 odbył się tamże kurs Okręgu Wileńskiego dla kierowników zespołów. Kurs miał za zadanie przygotowanie akcji letniej i przeszkolenie kierowników zespołów pod względem ideologicznym i technicznym (narciarstwo, strzelectwo).

Kurs Okręgu Lwowskiego w Skolem. Kurs organizowany przez ob. J. Selzera, Kierownika Obwodu Stryjskiego skupił 50 uczestników z terenów sześciu okręgów męskich, oraz 40 uczestników z pośród młodzieży rzemieślniczej, dla której instruktorzy kursu strażowego zorganizowali kurs oświatowy. W programie kursu poza pracą społeczną, przeszkoleniem narciarskim i strzeleckim sporo miejsca zajęły zagadnienia samokształceniowe.

Kurs Okręgu Lubelskiego w Lublinie zgromadził 22 uczestników. Miał na celu przeszkolenie w zakresie wykonywania pomocy naukowych dla szkół powszechnych oraz pracy świetlicowej. Na zakończenie kursu odbyła się wystawa wykonanych prac, którą zwiedziło około 150 osób. Komendantem kursu był ob. Nacz. Dobrowolski.

WIZYTACJE.

Z ramienia Organizacji V. Prezes ob. Karol Makuch wizytował kurs w Lublinie. Naczelnik Organizacji wizytował wszystkie kursy zimowe.

Z ramienia Min. W. R. i O. P. kurs w Lublinie wizytował Dyr. Dep. Szkolnictwa Ogólnokształcącego p. dr. M. Pollak w towarzystwie p. Kuratora Okręgu Szkolnego Lubelskiego, życząc uczestnikom pomyślnych wyników pracy.

ZATWIERDZENIE NACZELNICZKI I NACZELNIKA ORGANIZACJI.

Pan Minister W. R. i O. P. Prof. Dr. Wojciech Świętosławski, pismem z dnia 14 stycznia Nr. II W-1197/37 do Prezesa Rady Naczelnej zatwierdził wybór ob. I. Posseltówny na Naczelniczkę Organizacji i ob. M. Witkowskiego na Naczelnika Organizacji „Straż Przednia".

ZMIANY W PLANIE KURSÓW ZIMOWYCH.

Naczelnik Organizacji z powodu trudności, odroczył termin wyprawy narciarskiej do Rumunii.

KONFERENCJA INSTRUKTORSKA.

W dniu 23 b. m. w Brześciu n/B. odbyła się konferencja instruktorów Okręgu. W Konferencji wzięło udział 15 instruktorów oraz Naczelnik Organizacji ob. M. Witkowski i ob. W. Glazer z ramienia Gł. Wydz. Wyk. Część sprawozdawczą konferencji zaszczycił swą obecnością p. Kurator Okręgu Szkolnego Brzeskiego Romuald Petrykowski.

KONFERENCJE I ZJAZDY ODCINKA ŻEŃSKIEGO.

I. W dniu 6—7—8 stycznia b. r. odbyła się w Warszawie 3-dniowa konferencja instruktorska na tematy organizacyjne. Przybyło 36 instruktorek i naczelniczek okręgowych. W pierwszym dniu obrad p. Wiz. Min. W. R. i O. P. J. Michałowska wygłosiła prelekcję na temat: „Rola i zadanie organizacji młodzieżowych". W trzecim dniu obrad p. Piwońska z ramienia P. U. W. i P. W. omówiła zagadnienie „Roli i udziału kobiety w obronie Państwa", informując jednocześnie zebranie o projekcie ustawy, wniesionej do sejmu, o ochotniczej pomocniczej służbie kobiet w wojsku. Uczestniczki konferencji były w teatrze Polskim na „Gałązce Rozmarynu".

II. 23 stycznia b. r. odbył się zjazd kierowniczek zespołów Okręgu Brzeskiego, oraz przedstawicielek zespołów. Na zjazd przybyła Naczelniczka Organizacji ob. Irena Posseltówna, oraz ob. instruktorki z Łomży, Ostrołęki i Bielska Podlaskiego. Omówiono wyniki pracy w I-ym półroczu, program pracy za II-e półrocze i sprawę obozu okręgowego.

ŻEŃSKIE OBOZY LETNIE.

Przewidywane są następujące obozy: w Stanicy w Hołówkowie dla Okręgu Krakowskiego, Lwowskiego i Brzeskiego, w Kiedrowicach pow. Chojnicki — dla Okręgu Pomorskiego i w Gliśnie w tymże powiecie podobóz półwędrowny. Okręg Śląski łącznie z Warszawą i Poznańskim organizuje obóz w powiecie Święciańskim. W obrębie tego obozu przewiduje się wędrówkę wzdłuż granicy litewskiej z bardzo dokładnie obmyślonym programem ogniskowym. Na dawnym terenie rozłoży swe namioty jeden z obozów Okręgu Łódzkiego w Stajkach koło Drui. Okręg ten organizuje dla swoich środowisk zachodnich drugi obóz w pobliżu granicy niemieckiej w powiecie wieluńskim, aby zetknąć uczestniczki z nowym, odrębnym terenem pracy i odrębnymi warunkami. Okręg Wileński i Mazowiecki przenoszą się w tym roku do Sianek.

Akademiczki będą miały obóz w Hołówkowie. Projektuje się również sprowadzenie w tym roku na obozy polskiej młodzieży z Krasławia.

ZADANIA ŻEŃSKICH HUFCÓW LICEALNYCH — PRZYSPOSOBIENIE DO SŁUŻB POMOCNICZYCH.

Zarządzenie M. W. R. i O. P. w porozumieniu z M. S. Wojsk. z dnia 10. IX. 1937 r., wprowadzając p. w. jako przedmiot obowiązkowy do liceów męskich, wprowadziło też do liceów żeńskich obowiązkowe przysposobienie do pomocniczej służby wojskowej. Zarządzenie to mówi wyraźnie: w zakresie rat. san. „przysposobienie młodzieży żeńskiej do obrony kraju jest podstawowym zadaniem pracy wychowawczej i dydaktycznej każdej szkoły". Program przysposobienia młodzieży żeńskiej obejmuje w pierwszym roku szkolenia ratownictwo sanitarne wraz z praktyką opl. i opgaz. Zadaniem tego programu jest danie w ciągu 2 lat dziewczętom powyższych wiadomości w takim zakresie, by stworzyć na terenie każdego liceum drużynę lub sekcję ratowniczo-sanitarną do służby w obronie biernej przeciwlotniczej. Obok szkolenia tych drużyn, hufce mają za zadanie dbać przy pomocy szkoły i kół rodzicielskich o wyposażenie ich w odpowiedni sprzęt. W ten sposób przy czynnym współdziałaniu szkół, samych dziewcząt i szerokich mas uświadomionego społeczeństwa, powstanie z czasem na terenie szkół parę set wyekwipowanych i posiadających wyszkolony personel punktów ratowniczo-sanitarnych.

Praca w hufcu licealnym idzie w dwóch kierunkach: wyszkoleniowym i wychowawczym i dopiero umiejętne połączenie elementów wychowawczych i wyszkoleniowych składa się na całość pracy hufca. Znaczenie wychowawcze hufców licealnych jest może jeszcze donioślejsze, niż wyszkoleniowe. Dziewczęta przez zaznajomienie się z formą służby, obowiązującą w drużynie rat. san., przez zdobycie zasobu wiadomości z dziedziny organizacji wojska, struktury wewnętrznej, życia i pracy wojska, jednoczą się z nim duchowo, przyswajając sobie głęboko hasło: „Naród pod bronią".

Rycerski duch: duch karności i ładu, podporządkowania się i inicjatywy, przepojony miłością Ojczyzny i poczuciem hono-

ru żołnierskiego, ma przepoić całą pracę hufca, jednocząc dziewczęta w zwarty zespół, dopomagając do wychowania typu kobiety mężnej, zahartowanej i świadomej swych obowiązków wobec państwa.

Praca w hufcu wymaga hartu, opanowania, przezwyciężenia się nieraz. Nosze są ciężkie, a trzeba się nauczyć dobrze z nimi obchodzić. Ciężej jeszcze dźwigać „rannego" po trudnym nieraz terenie. Podczas zaś praktyki szpitalnej, trzeba bez skrzywienia patrzeć na rany i krew. Ba, trzeba znaleźć w sobie opanowanie i tyle siły, by opatrzyć i pomagać, by w ręce czujące i miękkie włożyć całą miłość dla tego co cierpi, i chęć ulżenia cierpieniom, i współczucie, do którego serce kobiety jest zdolne nie tylko w razie wojny.

I potem pójść w życie z tym hartem i umiejętnością, z przeświadczeniem, że wiadomości nabyte przydadzą się dziewczynie nie tylko w razie wojny. Wyszkolenie to i wychowanie będzie miało również wpływ na linię wychowania własnego dziecka na linię dzielności, ofiarności, dla służby ojczyźnie.

KSIĄŻKI

MELCHIOR WAŃKOWICZ — C.O.P. Ognisko Siły. Centralny Okręg Przemysłowy. Nakł. Roju, Waszawa 1938 r.

Założeniem i celem tej książki jest wytworzenie atmosfery psychicznej odmiennej od dotychczasowej, w jak najszerszych masach a zwłaszcza wśród młodzieży, w odniesieniu do nowej Polski — Polski konstrukcji żelbetowych, stalowych przęseł i dźwigów, których las wyrasta tam, gdzie niedawno znany był tylko głód, gdzie dym dusił mieszkańców kurnej chaty.

„Karlowate gospodarstwa poniżej 2 ha w wielu miejscach stanowią 60% wszystkich gospodarstw. Wydrapana uprawa, wyzyskany każdy skrawek ziemi, zaledwie 5% gruntów ornych jest niewyzyskanych... a w niektórych powiatach osiadł rój ludzi po dwieście dusz na km. kwadratowym... 41800 ludzi zbędnych na terenie Centralnego Okręgu.... Do 50 km. jest od poszczególnych ośrodków... a same te ośrodki — cóż za nędza".

To przeszłość — a na tle tej przeszłości olbrzymia wizja, 11.000 m. kw. hala fabryki sliników P.Z.L., gazociąg olbrzym Jasło — Pionki (wykonano 200 km.). Fabryka celulozy w Niedomicach, która będzie przerabiać 100.000 m. sześć. papierówki. Bekoniarnia w Dębicy przerabia 50.000 sztuk trzody 15000 cieląt... i Rożnów — w głąb ziemi 20 m., 30 m. nad powierzchnią masa betonu równa wieży Mariackiej, długości pół klm., szerokości u podstawy 30 m. — 380.000 m. sześć. betonu. To zestawienie zrobione według tekstu książki mówi samo przez się. Czyż nie ma słuszności wobec tego autor mówiąc: „O.C. jest u samego początku drogi. Baczmyż, żebyśmy — patrząc kiedyś wstecz swoich lat — mogli powiedzieć: my!".

A. Brunngraber — RADIUM, Poznań, wyd. S. Dippela 1938.

„Radium" to typ powieści zupełnie nowej, powieść, której bohaterem jest nie człowiek, ba nawet nie tak modna dziś grupa społeczna — bohaterem jest tutaj pierwiastek chemiczny, rad. Wokół niego zaciska się dziwny krąg ludzi — zdobywców, odkrywców, pionierów — zaklętych w błędne koło nerwowych poszukiwań, nowych dróg prowadzących do magicznego pierwiastka. Ci, którzy w jakikolwiek sposób z nim się zetknęli, ulegają bezwiednie potężnemu czarowi tajemniczości, otaczającej rad, starają się w nim lub przez niego znaleźć szczęście swoje czy ludzkości. Na tle świetnie narysowanych przez autora typów braci Purvis'ów—lekarza i fizyka, Jereboama Cormicka — siedemdziesięcioletniego poszukiwacza złota, a potym amerykańskiego króla radowego, oraz rodziny bankiera Cynaca, — kręgu ludzi organicznie z radem związanych, naszkicował autor pastelowymi barwami postać odkrywczyni radu Marii Skłodowskiej-Curie, jej męża i córki. Ten kontrast między ludźmi, dla których ideałem było wniesienie do dorobku naukowego ludzkości nowej pozycji, a między ludzi, traktujących „sprawę radu" jako odskocznię do swej kariery, stanowi sens społeczny książki. Poza tym godny uwagi jest sposób, w jaki autor podaje czytelnikowi ścisłe wiadomości o radzie, wiadomości z zakresu chemji specjalnej, teorii radioaktywności, falowej budowy materii: brak tu wszelkiego patosu, objawień naukowych, ogłaszanych „ex catedra", ironiczno-elementarzowego tonu t. zw. wydawnictw popularno - naukowych. Czytelnik znajdzie rzetelne wiadomości podane w nienużącej, przystępnej dla każdego formie. Doskonale autor rozwiązał psychologiczne oświetlenie „sprawy radu", odbywającej się do chwili wydania tej książki przy drzwiach zamkniętych dla przeciętnego człowieka i świetnie wbudował w powieść najlepszą bodaj część traktującą o rozwoju radiologii i jej znaczeniu dla lecznictwa.

Odpowiedzi redakcji

A. H. Lwów.

Artykuł poprawny, tendencje zacne i słuszne, ale chyba właśnie dlatego nie warto go drukować. Myślą tego artykułu mądrzy już jesteśmy od kilkunastu lat. A przecież kolumna dyskusyjna „Oczu" nie może się ograniczać do powtarzania starych i niewzruszonych, dawno poznanych prawd. I jeszcze jedno: idea polityczna naszej niepodległości nie przebrzmiała, i nie wystarczy chyba zastąpić ją społeczno-moralną ideą pracy.

kol. F. Z. W.

Praca „Rok 1863 i Grottger" znacznie słabsza od poprzednich, dlatego jej nie drukujemy. Prosimy o dalszą współpracę.

kol. T. Mysłowicka.

Artykuł „Armia i naród" sprawia wrażenie wypracowania szkolnego z dobrym wstępem, rozwinięciem i bez zakończenia. Publicystyka, a zwłaszcza t. zw. publicystyka młodzieżowa, nie może się zadawalać konstaktowaniem pewnych, „gołym okiem" zresztą dostrzegalnych zjawisk życia publicznego i tylko omówieniem formy, w jakiej te zjawiska raczyły zaistnieć w naszej rzeczywistości. Problemy, jak ten, muszą być ukazywane z jakąś przecież dynamiką! Tymczasem w artykule koleżanki potężnie brzmi tylko — tytuł.

Kol. Jan Marszałek.

Z chęcią drukujemy część wierszy. Reszta w tece. Trochę za dużo w tym wszystkim znanych ech, „ogranej" rytmiki, powiedzianych już przedtem metafor, za wiele „odpływających krajobrazów" i całego tego, jak ktoś kiedyś rzekł — „spacerowego stosunku do liryki"!

Kol. A-a.

Napisaliście reportaż z kursu, słusznie dzielicie się z nami uciechą z wyników realizacji, ale — co było na kursie, coście robili, jakiego rodzaju praca, wyniki i wnioski — o tym ani słowa. Nie możemy drukować takiego reportażu. Skądinąd zaś wiemy, że konkretne wyniki kursu (wyrób pomocy szkolnych) były istotnie znakomite.

WYDAWCA IMIENIEM STRAŻY PRZEDNIEJ: BOLESŁAW WASYLEWSKI
REDAGUJE KOMITET SEKRETARZ REDAKCJI: CZESŁAW DOMARADZKI
Zakł. Graf.-Introl. J. DZIEWULSKI, Warszawa, Senatorska 10.

(dok. z 2-ej str. okładki)

Inż. Aleksander Ringman. UPRZEMYSŁOWIENIE I OBRONA PAŃSTWA. Warszawa, 1937.

Autor rozpatruje zdolność produkcyjną Państwa Polskiego pod kątem wymagań, jakie postawi nam przyszła wojna, do której — bo takie jest milczące założenie książki — musimy się przygotować w ciągu najbliższych lat.

Przemysł — to surowce, narzędzia, źródła energii, wreszcie fachowcy i kapitały. Wszystkie te czynniki zostały uwzględnione w rozważaniach autora, który dokonał zupełnie obiektywnego rozumowania we wszystkich dziedzinach życia — tego, co już jest — i nakreślił w zarysach to, co być powinno.

Nie będziemy opowiadać treści książki — kto chce poznać Polskę współczesną, przeczytać ją i tak musi. Stanowi ona bowiem małą encyklopedię tego najpierwszej wagi zagadnienia. Chcemy zwrócić tylko uwagę na jeden nie zasadniczy zresztą jej moment: stale podkreślane przez autora skutki dużej rozpiętości cen artykułów rolnych i przemysłowych — zwłaszcza skartelizowanych, skutki, sięgające we wszystkie prawie dziedziny naszego życia. Autor jest wrogiem karteli. Zebrawszy podczas omawiania poszczególnych gałęzi przemysłu „obszerny materiał dowodowy ich hamującego wpływu na rozwój naszej wytwórczości" wykazuje w ostatnich stronach książki udział w tych mętnych machinacjach kapitału zagranicznego. W imię więc już nie tylko sprawiedliwości społecznej i zdrowego rozsądku — lecz przede wszystkim w imię naszej postawy obronnej woła autor wielkim głosem: „Twórzmy zwartą i stanowczą wolą całego narodu jednolity front gospodarczy, front, którego podstawą będą nie nadmierne zyski krajowych i zagranicznych kapitalistów, lecz interesy szerokich warstw polskiej ludności, zaś przede wszystkim obronności naszego Państwa".

Ppłk. dypl. Janusz Dżugay. ZADANIA ROLNICTWA W PRZYGOTOWANIU OBRONY PAŃSTWA. Warszawa, 1937 r.

Broszurka ta jest odbitką referatu wygłoszonego przez autora do studentów-członków Koła Rolników Wydziału Rolniczo-Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego.

Referat nie omawia konkretnie poszczególnych dziedzin pracy rolnika, lecz wykazuje związki istniejące między obronnością państwa a stanem jego kultury rolnej. Autor podkreśla rolę militaryzmu jako czynnika pobudzającego i tę dziedzinę do stałego rozwoju, do postępu, do doskonalenia swych archaicznych często metod. Porównując stan naszego rolnictwa z sąsiadami zachodnimi, prelegent wskazuje drogi, jakimi powinien iść jego rozwój, porusza zagadnienia socjalno-polityczne, podkreśla wreszcie zadania ciążące na młodej inteligencji fachowej, której terenem pracy stanie się tak zaniedbana, a tyle posiadająca możliwości wieś polska.

Franciszek Gruszka.

TEATR

„CIESZMY SIĘ ŻYCIEM"

Komedia w 3 aktach (4 odsłonach) M. Harta i G. S. Kaufmanna. Przekład M. W. Różyckiego. Teatr „Ateneum".

Pod koniec aktu pierwszego wpada na scenę któryś z domowników i pyta „która godzina?" Pytanie to konsternuje całą scenę. — „Godzina? Nie... nie wiemy". Moment ten charakteryzuje najlepiej całą komedię, amerykańską i antyamerykańską zarazem. W krainie spieniężonego czasu, we wszystkich 48-iu stanach zjednoczonych nie znalazłby drugiej takiej rodziny jak ta, a nawet nie znalazłby takiej rodziny wogóle. Rodziny, wedle autorów, jedynej na całym obszarze U.S.A., która umie — c i e s z y ć s i ę ż y c i e m. Rodzina Sycamore'ów złożona z dziadusia i dwóch następnych pokoleń usiłuje pracować tylko w tych dziedzinach, które ją interesują. Dziaduś hoduje węże, córka pisze sztuki i maluje, mąż jej wyrabia ognie sztuczne i bawi się zabawkami, wnuczka uczy się tańczyć, jej mąż wyrabia karmelki, pasjonuje się ręczną drukarnią, grą na ksylofonie itp. Wynika z tego umyślny i bardzo śmieszny nonsens wszystkich sytuacyj, spotęgowany tym, że ani jedno z domowników niczego naprawdę nie potrafi, że rodzinka niemal nic nie zarabia ale w ustawicznym podnieceniu swoimi pasjami — „cieszy się życiem". Jedyna trzeźwa latorośl domu pragnie wyjść za syna przemysłowca. Dwa akty zabawnych perypetyj z bombami, policją i wielką księżną rosyjską i na zakończenie przemysłowiec, oschły i skwaśniały typ z Wall-Street „zwalnia tempo" w myśl rad dziadusia, zgadza się na małżeństwo syna z panną Sycamore'ówną, przystaje nawet do szalonej gromadki i jako nowy zawód obiera sobie... grę na saksofonie. Całość dowcipnie napisana ma w sobie trochę morałów dla opętanej produkcją Ameryki (po co pracować, lepiej używać życia), ale chyba nie dla nas. Reżyser wybrnął szczęśliwie z zadania, czyniąc z tej moralizatorskiej farsy bezpretensjonalne i bardzo rozśmieszające widowisko. Jaracz w roli dziadusia — apostoła tego „nowego ładu" nadawał komedii ideowy, zbyt jak na farsę przekonywujący ton. Całość zagrana w dobrej obsadzie, sprawnie i z rozmachem, lecz może nie tak wesoło, jakby wypadało ludziom, naprawdę cieszącym się życiem.

Piotr Choynowski. OPOWIADANIA SZLACHECKIE. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Z drzeworytami Stefana Mrożewskiego i przedsłowiem Ferdynanda Goetla.

Jakże różne są jednak te cztery przemiłe szkice od czołowych Jego dzieł, „Kuźni" i „W młodych oczach". Różne nie ze względu na brak tendencji społecznej i obiektywną obrazowość, nie dlatego, że są raczej pochwałą, a nie oskarżeniem szlachetczyzny. Różność polega tutaj przede wszystkim na ujęciu tematu, na psychicznej postawie autora, który z widza i interpretatora przekształcił się w malarza. Obraz społeczny opowiadań szlacheckich, pokrewny w swej bujności „Potopowi" i „Ostatniemu zajazdowi na Litwie", uderza czytelnika bogactwem kolorystyki, barwą staroszlacheckich obyczajów i językiem tak czystym i pięknym i bliskim Imć Pana Paskowej jędrności, że nieraz zdaje się, iż to nie w dwudziestym lecz w osiemnastym wieku pisana książka. Styl wspaniały, na którym winny się uczyć plejady współczesnych, a zarazem pseudonowoczesnych literatów, przebogaty w swym staropolskim, nadzwyczaj umiejętnie archaizowanym słownictwie.

Typy pyszne, godne sztychu Andriollego czy brandtowskiego pędzla, żywe, nie przejaskrawione, nie rozpsychologizowane — wszędzie czuć umiar i wolę prawdziwego artysty.

Dwa pierwsze, bodajże najlepsze w całym zbiorze opowiadania, „Magnackie swaty" i „Służba nie drużba", pełne żywych obrazków życia szlacheckiego — obiadów, przyjęć i zabaw, wprowadzają czytelnika w światek szlachecki za panowania króla Stasia. Z kart książki bije życie, humor, beztroska, śmiech — a w dali, prawie niewidoczna z pierwszego planu przewija się akcja najpierwszej i najpatetyczniejszej polskiej rewolucji, próby zawrócenia z nad progu otchłani — Konfederacji Barskiej. Na tym właśnie polega sens polityczny czy, jak kto woli, społeczny tych napozór czysto artystycznych, bynajmniej nietendencyjnych szkiców. I dlatego warto tę książkę przeczytać.

W MŁODYCH OCZACH

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży

STRAŻ PRZEDNIA



WARUNKI PRENUMERATY

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ **3.00**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA ZŁ **1.50**

Cena pojedyńczego numeru 30 gr

NALEŻNOŚĆ WPŁACAĆ PRZEKAZEM ROZRACHUNKOWYM Nr. 275

z zaznaczeniem na odwrocie: pren. „W MŁODYCH OCZACH"

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI

WARSZAWA, ŚWIĘTOKRZYSKA 30, M. 8

Zakł. Graf.-Introl. J. DZIEWULSKI, Warszawa, Senatorska 10.